Zbiór Poezyi z roku 1914 — 1916

TEJŻE AUTORKI:

Z krainy piękna i miłości...

Poezyi serya I — 1910.

Byle sercem rozgorzeć...

Poezyi serya II — 1913.

JANINA TOMASZEWSKA-MALANOWSKA

W huk dział wplotła się pieśń...

POEZYE

III

WARSZAWA 1917
SKŁAD W KSIĘGARNI E. WENDE I S-KA

Geprüft u. freigegeben Presseverwaltung Warschau,
den 21—III 1917.

Druk J. Świętoński i S-ka, Kopernika 34.

W purpurze polskiej krwi...

PO ICH ODEJŚCIU.

I.

Listopadowa martwota przestrzeni,
a w niej omglone cmentarza pustkowie...
Koloru złota i rdzawej czerwieni
suche pod stopą szeleści listowie.

Tu w ciszy słyszę jeno szlochy wdowie
drzew, co po stracie kwiecia i zieleni,
poobnażane na grobów wezgłowie
gałęzie kłonią pod chłostą jesieni.

Śród bratnich mogił, w murowanej grocie
tu proch mej matki bezpiecznie spoczywa
pod godłem krzyża, na cmentarnej glebie;

nad jej szczątkami brzoza się kolebie,
maić je może ręka zabiegliwa,
oko łzą rosić, skroń przylgnąć w tęsknocie.

II.

I choć grobowych nie uchylam dźwierzy,
wiem, że proch drogi trumna zasklepiona
chroni, że w znanej, własnej działce leży,
że ją odszukam wpośród mogił grona.

A tam na blizkiej pól i łąk rubieży
przeszyciem piki, smaganiem bizona,
półdziki kozak pod hasłem grabieży
do rozdartego polskiej ziemi łona

nieprzeliczone powtrącał szeregi
jej własnych synów! Krwią przesiąkła cała,
i miljonami pocisków zorana,

ziemia, jak jedna wielka, krwawa rana,
z bólu na chłodzie jesiennnym zdrętwiała.
Tylko okopów żółciejące ściegi

III.

blizną ją znaczą. Trupy czując blizko,
cmentarną ciszę niekiedy naruszy
krakaniem ptactwo — zlot na żerowisko...
I znów niemieje w beznadziejnej głuszy

równia olbrzymia... Z chmur, zwieszonych nizko,
deszcz lodowaty nieustannie prószy.
A tam od lasu kroczy drogą ślizką
pielgrzym–mrok szary z ciężkim smutkiem w duszy.

Ubogą płachtą okryte ramiona
do obolałej mazowieckiej ziemi
lęk mu przygina, chłód je ostrzem bodzie;

ku rozwalonej wlecze się zagrodzie,
która przy drodze szczerby zwęglonemi
sterczy — żebraczka zbita, okradziona!

IV.

Jałmużną cieniów pokrywa ofiarnie
ohydę zgliszczy na zdeptanej roli
i, ból z nią dzieląc, rozpacz i męczarnię,
nad potwornością polskiej płacze doli!

Bo myśl i czucie nawet nie ogarnie
nędzy tych istnień, co w hańbie niewoli
żyć przymuszono, potem konać marnie,
szatańskiej pysze swych ciemięzców gwoli!

To los nieznany dotąd dziejom świata!
Krew krzepnie w żyłach, mózg szaleje z trwogi:
na własny kraj swój i na własnych braci

iść z mieczem w dłoni, we wroga postaci,
śród ryku armat i w łunach pożogi,
pod biczem musu lub toporem kata!

V.

Tysiące matek, sióstr, żon i kochanek
dałyby resztę swej doli sierocej,
by wiedzieć wzamian, który krwawy szranek
skarby ich serca utaił w pomroce?

Zatlić w zaduszki na grobie kaganek,
co wątłem światłem z oddali migoce,
prosty krzyż zatknąć, kwiatów złożyć wianek,
przylgnąć choć myślą w beznadziejne noce —

wszak to tak mało! Mściwa losu siła
i to wydarła! Zbezczeszczone zwłoki
z piętnem męczeństwa, wyrytem na czole,

wespół z wrogami w jednym gniją dole!
A nagość straszną od krwawej posoki
hjen ludzkich chciwość z szat ogołociła!

W SZPITALU.

Polskim Sanitarjuszkom poświęcam.

I.

W mrokach doli wzrosłe kwiaty,
polskie serca, dłonie!
waszych czynów siew bogaty
na krwawym zagonie...

Błyszczą łzawo ócz bławaty
w zawoi osłonie.
Jakże szczodre są obiaty
ducha, co w was płonie!

Pościnały wroga ciosy
nasze, bujne, młode kłosy
na łanach obficie.

Wy niesiecie trudy znojne,
poświęcenia dary hojne —
wracacie im życie!

II.

Żołnierz ranny lub kaleka
wśród murów szpitali
z bólu kona, krwią ocieka,
ale się nie żali,

choć gorączki duszna spieka
tak nieznośnie pali,
choć zdradziecka śmierć nie czeka —
wciąż kosi na sali

towarzyszów doli twardej,
co stawili opór hardy
i wroga lawinę

odepchnęli, a przyszłości,
co ma błysnąć w świt wolności,
złożyli daninę.

III.

Jeden tylko promyk Boży
mroki mu rozzłaca:
kształt niewieści, jasny, hoży,
miękkich dłoni praca,

tkliwy uśmiech — odblask zorzy,
co czas męki skraca.
Z gorączkowych snów bezdroży
chora myśl powraca

i do istot drogich bieży,
do tej ziemi — do macierzy
polskiego żołnierza...

Biały anioł chętnie słucha,
dobrem słowem krzepi ducha,
czynem — ból uśmierza.

KRÓLEWNA-PRZYSZŁOŚĆ.

W omgleniu jutra złotem
na tęczy wsparta łuku
Królewna-przyszłość śni...
Przed nią śród armat huku
z świszczących kul chichotem
szeregiem idą dni.

Za bojem bój się toczy,
za bratem pada brat —
Królewny mądre oczy
z za siedmiobarwnych krat
spokojnie patrzą w świat.

Kędyś, za piekieł skrętem,
w tryumfie szatan drwi:
ziemia się wzdryga wstrętem —
nie może połknąć krwi!

Bo oto król stworzenia
rozkiełznał żądz swych huf —
w perzynę świat zamienia
miljardem paszcz i luf.

Gdy podminował góry,
roztrzaskał skały w łom,
to ptakiem sięgnął w chmury,
by stamtąd ciskać grom.

. . . .
. . . .
. . . .
. . . .

Nikczemność i przewrotność
stosować wszędzie rad —
eteru czystą lotność
w zabójczy zmienił jad!

Tak śmiercią wokół kosi
i chciwie zbiera łup.
Przyroda krwią się rosi —
za trupem leży trup.

W potwornej zawierusze
drży woda, p[illegible]a ląd,
a rozbestwio[illegible]sze
żre nienawiści trąd!

I nie ma ceny życie,
i wszelki powab zgasł,
i słońcu na zenicie
ubyło, zda się, kras!

A tam, w omgleniu złotem
jutra, na tęczy łuku
Królewna-przyszłość śni...
Przed nią śród armat huku
z świszczących kul chichotem
szeregiem idą dni.

Za bojem bój się toczy,
za bratem pada brat...
Królewny mądre oczy
z za siedmiobarwnych krat
spokojnie patrzą w świat.

MY ZWYCIĘŻYMY!

My zwyciężymy nie mieczem ni męstwem,
lecz stokroć większem, bo ducha zwycięstwem!
Przez lat szeregi mnożyła się siła,
która miłością ku ojczyźnie biła
w najsłabszem sercu, bo niewoli pęta,
ucisk i przemoc, w pięść wroga zaklęta,
nas nie spodliły, jak mówią pospołu,
tylko, jak iskrę znaczny zwał popiołu,
przyćmiły ducha, lecz on w głębi tleje
i syci ciepłem stygnącą nadzieję
i czeka chwili... Wieszczów sny prorocze,
ich cudnych wizji podniebne roztocze,
ich wielkich przeczuć święta nieomylność
krzepiły wiarę, wzmacniały bezsilność
i urabiały w sercach niezmożoną
pewność, że Polska nazawsze zmiażdżoną

zostać nie może, że przez ciężkie próby,
przez chłostę losów i lata zaguby
przejdzie i wskrześnie bólem odkupiona!
Godzina bije... Płynie krew czerwona
i tryumf święci armata i bomba!...
Mnoży się wokół istnień hekatomba,
a nad nią wstaje dziwna, straszna wiosna:
pod niebem złota, słoneczna, rozkoszna,
dołem potworna klęską i zniszczeniem,
nędzy bezmiarem i ludzi cierpieniem!...
Śród zgliszczy wszakże młoda zieleń wschodzi...
Ufajmy, wierzmy — Polska się odrodzi!
Dziś cześć poległym dla wolności świtu,
cześć poświęceniu, co sięga zenitu
w nieprzeliczonych tych zastępach ludzi,
z których się każdy dla ojczyzny trudzi,
i cześć poezji, która w mękach ciała
ducha krzepiła i przetrwać mu dała!...

OPADŁA PLEŚŃ...

Opadła pleśń, wiekowa pleśń,
dławiąca polski ród:
w huk dział i surm wplotła się pieśń,
wieszczony nadszedł cud!

Z roztoczy łez, z otchłani mąk,
w purpurze polskiej krwi
wybłysnął nam tęczowy krąg
jutrzenki nowych dni!

O, ziemio Piastów, rany gój,
wiosenną runią kryj,
bo oto tryumf nadszedł twój —
więc kwitnij, kochaj, żyj!

Młodzieży polska! wzbijaj lot
i sercem sięgaj wzwyż,
a dłonią dzielnie chwytaj młot
i przyszłość kuj, jak spiż!

Jak ta z Jerycho róża niewiędnąca...

Mężowi memu poświęcam.

PIOSENKA.

Wonieją sady i kwitną,
pył biały drzewa opusza,
przed słońce w przestrzeń błękitną
puch sypie jabłoń i grusza.

Pył biały drzewa opusza,
ku kwieciu kwiecie się skłania
i wyda jabłoń i grusza
owoce w czas winobrania.

Ku kwieciu kwiecie się skłania
pod baldachimem błękitu:
da owoc w czas winobrania,
gdy lato sięgnie zenitu.

Pod baldachimem błękitu
miłość poczęła się nasza...
Dosięgła pragnień zenitu —
i szczęścia pieni się czasza!

Miłość poczęła się nasza
w żarach utęsknień gorąca...
Dziś szczęścia pieni się czasza,
przesyt jej dotąd nie zmąca!

W żarach rozkoszy gorąca
niech płonie kwieciem, jak drzewa...
Przesyt jej dotąd nie zmąca —
więc o niej lutnia ma śpiewa.

Niech płonie kwieciem, jak drzewa,
co w słońcu mają się wiosną,
a o niej lutnia niech śpiewa
tobie piosenkę miłosną!

POWRÓT.

Radością jest mi odjechać od ciebie,
bo kiedy wracam, to się sercu zdaje,
że odlatuje w ptaszęce wyraje,
że się na skrzydłach marzenia kolebie

i że miłością odkwita nanowo,
jak ta z Jerycho róża niewiędnąca,
kiedy ją cuci pocałunek słońca.
Wspomnienia w jasność stopione perłową

blaskiem powrotną wyściełają drogę.
A z myśli — żadnej powstrzymać nie mogę
ani zawrócić w jej locie ku tobie!

I nim się zjawem rzeczywistym stanie
uśmiech, spojrzenie i twe powitanie —
wszystko wyczuwam i przeżywam w sobie.

MOMENTY.

Kiedy w urocze młodości przedwiośnie
spotkałam ciebie. „Miłość twą mieć będę“,
szepnęłam w duszy, i jak pąk radośnie
pieszczony słońcem, strojąc wonną grzędę
i rozwierając miękkich płatków zwoje,
drży — tak od szczęścia drgnęło serce moje.

W kwitnącej pełni dojrzałego lata
są dni pogodne, są chmurne, jak dusze
uczucia głodne. Smętność w nie się wplata
jesieni, która przyjść ma. Ku otusze
własnej, gdy serce złe przeczucia znoją,
powtarzam często: „Wszak mam miłość twoją“.

Gdy zgasną blaski ostatnie, najkrwawsze,
zachodu dni mych, i mrok już nastąpi
jesieni życia i gdy już nazawsze
pożegnam młodość — przeliczę, jak skąpi,
wspomnień mych skarby, i w bólu ostoją
będzie mi pewność: „Miałam miłość twoją".

JAK W BAJCE.

Magnolje okwiat różowy strząsały,
szaleństwem woni buchały ogrody.
Białych pałaców marmurowe chłody,
jeziornych głębin stężałe kryształy,
a nad tem niebo, co chmur czarnej troski
nie zna — tłem były, na którem się boski
sen o miłości w złote wyrył zgłoski...

Dwoje nas było odbiegłych daleko
od kraju, blizkich i świata obmowy,
za siódmą górą i za siódmą rzeką,
jak w bajce onej, którą w zmierzch zimowy
matka do łona tulonej dziecinie
szepcze... Tak myśmy w bajkowej krainie
o jakiejś czarów i cudów godzinie

chłonęli piękno, wypiękniali dusze,
czerpali hojnie z przedziwnej krynicy,
w którą od wieków wszechświata gienjusze
dary sypały ze swych serc skarbnicy!
Jak w użyznionej glebie złote ziarna —
dojrzała miłość w taki hart mocarna,
że codzienności nie zmełły jej żarna

i że w ozdobie krasy niespożytej
trwa wciąż i nie zna smutku przekwitania,
a z nizin życia niosąc myśl w błękity,
hejnały szczęścia w tryumfie wydzwania.

WRÓCONE ŻYCIU SERCE...

I.

Wątłe ziemskiego bytu rwały się wiązadła
i pożegnania z życiem moment był już blizki...
Ciało śmierć w lodowate chwytała uściski
i stygmatem milczenia na usta się kładła.

W dorywczej ulgi chwilach pamięci zwierciadła
jawiły obraz doli, co była tak jasna,
bo miłość ją stworzyła i dusz spójnia ciasna.
O minionego szczęścia rozkoszne widziadła!

majaczeń gorączkowych dokuczliwe mrowie
pierzcha przed czarem waszym... A ty, sercu drogi,
coś skarby uczuć hojnie sypał mi pod nogi,

wiedz, iż myśl moja chora, przytomna w połowie,
jednej prawdy świadoma i tej nie ukrywa:
że tobie zawdzięczając — jam była szczęśliwa!

II.

Godzina już przedranna, świt już niedaleki,
przez okienne zasłony blask się sączy płowy, —
a tyś do snu zmęczonej nie ułożył głowy
i czuwaniem obrzmiałej nie zmrużył powieki.

Źródlana świeżość wody śród upalnej spieki
strudzonego wędrowca bardziej nie ochładza,
niż mnie w ogniu gorączki słów pieściwych władza,
poczucie nieustannej, troskliwej opieki

i twoja nieodstępna obecność u łoża.
Idź, spocznij... Już mi lepiej... wracają już siły,
już nie straszy mnie widmo samotnej mogiły.

Patrz: nadchodzi dzień nowy, nowa wstaje zorza.
W podmuchach blizkiej wiosny wraca klucz żórawi,
wrócone życiu serce tobie błogosławi!

III.

Pójdziemy znowu razem na niepewność doli,
na znojne zdobywanie codziennego chleba,
a miłości wzajemnej moc, jak słońce z nieba,
trud nasz lżejszym uczyni, tęczą go okoli!

Wzniesieni ducha skalą, silni hartem woli
i piękna wewnętrznego zasobem bogaci,
w mierności żyć będziemy, jak żyją magnaci!
Ale to szczęście nasze — samolubstwu gwoli —

w dosytu ciasnem kole niech się nie zasklepi!
Niech ma głębię jeziora na podniebnym szczycie,
co dnem wsparte o ziemię, powierzchnią w błękicie

potoki z gór płynące zasila i krzepi.
Teraz chodź — i na dalsze wiedź mnie życia ścieże
w dawnej jedności uczuć, przyjaźni i wierze.

AWENIS.

LEGENDA.

I.

Ocean zasnął. Piersi olbrzyma
coraz spokojniej i równiej dyszą;
powierzchnia rzadziej pianą się wzdyma;
ponad wód łono, wieczorną ciszą
spowite, księżyc w pełni wypływa.
Wokół obszaru pustka straszliwa,

a w jej otchłaniach śpi groza śmierci.
Gdy ją rozpęta moc tajemnicza
bóstw, wnet mogiłę nurt śmiałkom wierci,
których odwaga siłę przelicza
i ciężar ciała, miecza, puklerza
ochronie wątłej łódki powierza.

W drzewnej łupinie, igraszce fali,
wojownik płynie ku wyspie dzikiej,
co niby krater wulkanu w dali
purpurowymi błyska płomyki,
nęcąc wędrowca wzrok pokryjomu.
Zbrojna skalistym pierścieniem złomu,

o który z wściekłym rykiem przekleństwa
ocean-potwór cielsko swe rani,
wyspa odstrasza widmem męczeństwa:
oto druidów kapłanki na niej
z człowieczych istnień ofiary czynią
przed czarnej nocy mściwą boginią.

Lecz młodzian trwogi nie zna. Czyż ciała
nagość śród młodych przyjaciół grona
od lanc zabawy nie ociekała
krwią tak, że ziemia była czerwona
I czyż nie szukał chwały lub zgonu
wpośród rzymskiego mieczy legjonu?

Po ziemi galskiej krąży orędzie,
że gdy powolną rycerza żoną
noc jedną tylko kapłanka będzie,
to bóstwo przez jej mowę natchnioną
zdradzi tajniki wiedzy głębokiej,
bojów i zwycięstw przyszłych wyroki.

Lecz biada śmiałkom, bo kto nie zbudzi
pragnienia w czystem dziewicy łonie,
żywcem nie wróci nigdy do ludzi:
ciało mu wrogich kapłanek dłonie,
jak łup zgłodniałe na skałach sępy,
chwycą i w krwawe rozszarpią strzępy!

Myśl świętokradcza żądze podsyca,
zdrożna ciekawość skrzydli bieg łodzi,
krwi młodej łuną pałają lica —
śmierć, czy też miłość war ten ochłodzi?
A na ruchome zwierciadło toni
noc, jak kochanka, całunki roni...

II.

Ramion biel naga, złote kołczany,
u pasa miecze, czarne tuniki,
włos na swawolę wiatrom wydany
i magicznego tańca szał dziki
w dziwaczne linje giętkość ciał pręży.
Języki ognia z syczeniem węży

pod drzew uśpionych pełzają szczyty;
jak groźne widma sterczą dokoła
skalistych cyplów ostre dziryty;
w kotle się ważą kwiaty i zioła,
a z płomienistej stosu gardzieli
raz po raz w górę krwawy snop strzeli

i deszcze iskier sypie na drzewa,
w rosy opadach błyszczące tęczą.
Gdy ponad gęstwią zefir przewiewa,
eolskie harfy żałośnie jęczą,
które w urocznym gąszczu gałęzi
dłoń poświęcona kapłanek więzi.

Ekstazą dziewic gorejąją oczy,
w tańcu migają przeguby ciała,
aromat kwiatów zmysły im mroczy,
i z wysokości Koridwen biała
śle przesączoną w srebrzyste blaski
moc jasnowidzeń na dowód łaski.

A wtem dreszcz zgrozy zdjął uroczysko!
Srebrna bogini pobladła mściwie —
w purpurze ognia, przy stosie blizko,
depcząc spalonych sosen igliwie,
stanął mężczyzna... Tarcz kwadratową
i miecz miał w dłoni. Nad hardą głową

na hełmie orle skrzydła mu wiały
i rzekł, ciskając ócz błyskawice
w ponurych kobiet rój oniemiały:
„Imieniem słońca was, o dziewice,
witam, pełniące rytów nakazy!
Wdzięczność i hołdu mego wyrazy

dla tej zachowam w zbożnej pokorze,
która uchyli rąbek mej doli,
a zaś tymczasem tu miecz mój złożę,
tarczę i szyszak zwyczajom gwoli.
Przez wzgląd na podróż i utrudzenie —
tuszę — wędrowiec znajdzie schronienie“.

Skończył. Milczenia chwila się dłuży —
tak zwykle niemal w przyrodzie bywa
cisza zwiastunką niechybną burzy.
Jak grom w zdwojeniu ech przeraźliwa
salwa okrzyków wstrząsnęła borem;
pod nagłym pięści zwartych naporem

szczęknęły krótkie u pasów miecze.
Najstarsza z czarnych nocy kapłanek,
w której — rzec można — serce człowiecze
zamarło, z głowy zerwała wianek
i sykiem, pełnym jadu i zgrozy,
wyrzekła twardo: „Wiązać w powrozy!

A ty, Awenis, Koridwen sługo,
idź i dopełnij, co prawo każe:
przetnij nić życia aż nazbyt długą,
skoro przywiodła go przed ołtarze,
których oglądać tu nikt bezkarnie
nie może z ludzi. Przyśpiesz męczarnie,

śmierć zadaj miecza świętego ciosem!“
Wyroku echem jęknął bór czarny,
płaczliwym harfy zadrgały głosem
i ciemniał w dali, jak grób, ofiarny
głaz, a ku niemu szła ofiarnica.
Bladość młodzieńcze pokryła lica,

a postać smukła i wiotka cała
pod bezlitośnym władzy wyrokiem,
jak młoda brzózka się uginała.
Rozpacznym przed się patrzyła wzrokiem,
i nikt tu chyba nie powziął wiary,
by mogła stać się katem ofiary!

„Kapłanko! Lic twych śmiertelna bladość —
rzecze wojownik — lęk dziwny zdradza...
Uderz, niech rytom stanie się zadość,
wszak ci to każe bóstw twoich władza.
Ja pod dotknięciem pięknej kobiety
ostatniej w życiu doznam podniety!

Przedśmiertną dla mnie będzie narkozą
urok twój, równy czarom bogini!
Czemuż się wahasz i drżysz? O zgrozo!
Ręka mi twoja śmierć lżejszą czyni.
Powrozy odrzuć! Wiedz, że spotyka
tu zgon rycerza, nie niewolnika!“

I mówił, wciąż pewien siebie, spokojny.
Bór ciszą przyjął skazańca słowa,
a w dźwięku jego mowy dostojnej
był spiż i słodycz była miodowa.
Tak santalowe drzewo pod dłonią,
która go ścina, cudną tchnie wonią!

Awenis stała, jak urzeczona:
miotane wstrząsem wewnętrznym drżały
dziewiczą krasą wabne ramiona;
usta, podobne płatkom spłowiałej
róży, pobladły; na bujne sploty
z odblasków stosu nimb padał złoty,

a oczy, jakby olśnione zjawą,
tyle zachwytu w sobie mieściły,
że odtąd żadne Koridwen prawo
władczej już nad nią nie miało siły!
Bo oto losów dziwna zawiłość
w sercu jej bóstwu imieniem „Miłość“

świątynię wzniosła! Więc żadne wraże
czucie nie mogło już w niem się ostać!
A wówczas dziewic zdumionych twarze,
widząc jej drżącą, wylękłą postać —
spłonęły łuną świętego gniewu,
jak od krwawego pożarów wiewu

w upały lasy zeschnięte płoną.
W gronie kapłanek wszczął się krzyk, zamęt:
„Hańba! Koridwen prawo zgwałcono!"
Chmura posępna skryła firmament
i skały, gromu wstrząśnięte dreszczem,
drżały w posadach drżeniem złowieszczem.

Zdawać się mogło, iż się tu wściekło
szatanów stado. Kapłanki wrzaskiem
gromiły siostrę, a burzy piekło
wrzało: pioruny mroki wciąż blaskiem
cięły; ocean w szału przystępie
wył, jak zwierz bity w dzikim ostępie!

Oszołomiona, nawpół przytomna,
podobna widmu, w nieludzkiej męce.
stała Awenis. Jasność ogromna
rozdarła niebo. Dźwignęła ręce
z wysiłkiem w górę — miecz wypadł z dłoni...
A wówczas jędze w gwarnej pogoni

uciekać jęły z wyspy przeklętej;
dopadły w skałach ukrytych łodzi,
pchnęły w chłostane wichrem odmęty
i zbiegły, jako z pola uchodzi
ten, kto zwyciężon. Po nich zostały
Awenis, rycerz i stos zczerniały.

III.

Na zboczu wyspy jest kuta w skale,
jak gdyby dłonią dobrego bóstwa,
zaciszna grota. Snać niegdyś fale
miały tu dostęp; śród muszli mnóstwa,
pereł, korali, bursztynów zniosły
dary bogate, jak dobre posły

głębi-władczyni. Mchów rozpostarcie
miękkim głąb groty wysłało puchem;
u wejścia paproć stoi na warcie;
zefir wlatuje zwiewnym podmuchem,
niosąc świeżości daninę wonną.
Miło tu bardzo, cicho, przestronno.

Jak huraganem ściętą krzewinę,
rycerz Awenis składa omdlałą
w zaciszu onem. Usta jej sine,
zamknięte oczy. Na licach drżało
łez kilka — ciężkiej rozterki żniwo...
Olbrzymich włosów złote przędziwo

nagiego ciała białość przecudną
kryje przed chciwym zdobywcy okiem.
A było żądze na wodzy trudno
trzymać przed boskim niemal urokiem
tej nieskalanej niczem piękności.
Ale gdzieś, w serca nieznanej włości,

jakaś się błąka współczucia szczypta,
więc rycerz czeka, aż mu się sama
odda miłośnie... Groty im krypta
schronieniem będzie i żadna tama
wówczas namiętnej nie wstrzyma mocy!
Wiedział, że jeno w ciągu trzech nocy

za prawa wolą będzie jej danem
zaznać upojnej grzechu słodyczy...
A gdy raz trzeci zorza rumianem
licem zabłyśnie, to cios zbrodniczy
zetnie ją, jako duszy podcina
ufność doświadczeń ciężka godzina.

Wiedział, że z młodu już przeznaczona
przez ojców bóstwu nocy w ofierze,
jeno surowych praw znała ona
twardość i nigdy słoneczne dźwierze
radości życia się nie rozwarło
przed nią, więc patrzył, jak na umarłą

patrzy się z żalem, ze czcią i lękiem,
zanim ją schronią ciemnie mogiły.
Trzy razy tylko pod skały wnękiem
uśmiechy szczęścia będą jej lśniły...
Przed wiekuistej widmem zatraty
trzy mrokom życia wydarte kwiaty —

to było wszystko, co w krasy wiośnie
wyklętej z grona dziewic zostało!
Z własnych lub sióstr swych rąk bezlitośnie
umrzeć musiała i młode ciało
czerwiom lub krukom oddać na zżarcie!
Pod wzrokiem woja, który uparcie

na nią czatował, drgnęły powieki
cudnej Awenis — rozwarła oczy...
Jak po ulewie przez kropel ścieki
tęcza swój przepych łukiem roztoczy,
tak blask jej źrenic zalśnił w krysztale
łez nieotartych. Przez warg korale

płynął szept, jako źródło się sączy
w ciszy promiennych przedświtu godzin
śród kwietnych głogów różowej pnączy:
„O chwilo cudu, chwilo narodzin
miłości mojej! Jam wiarołomna,
czemuż więc duszę moją ogromna

olśniła jasność? Dalekie granie
harfy mej słyszę... Już blizka chwila,
kiedy złociste zorzy świtanie
wiośnianych kwiatów pąki rozchyla...
Jak ziemia pieszczot słońca spragniona,
wznoszę ku tobie tęskne ramiona,

wybrańcze luby! Patrz na mym czole
jest piętno hańby! Śmierć na mnie czeka,
i wiem, że prawa wypełnię wolę
i nie żałuję... Przyszłość daleka
czemby mi była?... Sen mój o tobie
dawno kochałam... Dni me w żałobie

rytów ponurych — żalu niewarte,
jako ten zwiędły wieniec werbeny
i jak tuniki zwoje rozdarte...
A bez wzajemnej miłości ceny
wszak nie ma życie!... Po twardej drodze
w otchłań wieczności sama odchodzę

i wiem, że ciebie śmierć moja zbawi...
Ty wiedz, że dusza Awenis, biedna,
za chwilę cudu cię błogosławi...
Zwycięstwo w bojach tobie wyjedna
Tak, jako pragniesz — niech ci się stanie!
A teraz — daj mi pocałowanie"...

IV.

Pieszczotom zorzy toń oniemiała
z dreszczem rozkoszy rozlewne łono
wód swych po trzykroć już oddawała.
Po raz ostatni twarz zasępioną
chyli Koridwen, śląc na wywiady
chyżego gońca — promień swój blady

ku grocie, w której wnętrzu miłości
tryumf się święci... Milczeniem głuchem
grota natrętnych zbywała gości.
I nic, prócz fali, głośniejszym ruchem
tu pluskającej, ciszy nie zmąca,
chyba ku gniazdu powracająca

mewa. Nie zgadnie nikt, jakie trunki
upojeń, jakich pieszczot haszysze,
jakie uściski, jakie całunki
czarowne skał tych kryło zacisze!
Lecz szczęście mgnieniem, a smutek wiekiem
mierzyć wszak trzeba... Więc nim dalekiem

świtaniem trzecia zabłysła zorza,
walcząc z opornem królestwem mroku —
Awenis wstała z wonnego łoża,
jakby zwolniona z więzów uroku
przez moc tajemną... Łzy gorzkie kryje
i kochankowi wiesza na szyję

sznur poświęconych muszli. Z oczyma,
w których przeznaczeń płomień ponury
gorze — ramienia jego się ima,
wiedzie ku zboczom skalistej góry,
lekkie czółenko na wody spycha,
potem skupiona w sobie i cicha

zapala wielkie smolne łuczywo,
widomy symbol duszy płomiennej.
Jej to powierza pieczę gorliwą
nad tym, który ją wyrwał z gehenny,
dał poznać rozkosz, a zabrał życie
w niewieścich wdzięków pełnym rozkwicie!

Odpłynął. Długo na cyplu skały
stała i długo ku niej biegł wzrokiem...
Mewy śnieżyste nad nią latały,
zorza zlewała światła potokiem...
I zdało mu się w olśnieniu słońca,
że to jest złota harfa milcząca,

której on dzwonne potargał struny!
Zwolna mu w oczach postać nad złomem
malała, przestrzeń rosła... Śród łuny
potężniejącej nad wód ogromem
Awenis-harfa nakształt widziadła
nikła, aż iskrą w otchłań zapadła...

E. Schuré: „Les grandes legendes de la France."

ZIARNA PIOŁUNNE.

JEST W ŻYCIU DUSZY PRZEDZIWNA GODZINA...

Gdy od snu parna ziemia w mrokach leży,
noc z jej ciepłego podnosi się łona,
ros brylantowych rzuca dar bogaty,
i biorąc na się w gwiazdy tkane szaty,
jeszcze tchem ziemi cała przepojona,
odchodzi cicho ku świtów rubieży.

A za nią w gwiezdne zapatrzona lice,
jak lunatyczka, psyche idzie zdala
w mistyczne duchów wyzwolonych włoście...
W świt noc się wtapia... Na tęczowym moście,
co świat realny z światem snów zespala, —
zbudzona psyche otwiera źrenice.

Dokoła sennie ścielą się nad ziemią
mgły srebrno-sine, jak łabędzie puchy,
pozłotą blasków zlekka jaśniejące;
w ich biel wtulone jeszcze śpi gdzieś słońce;
dołem obłoki — światłoskrzydłe duchy —
w oczekiwaniu nieruchomem drzemią.

Wzrok jej w jasności skąpany jutrznianej
nabiera wielkiej patrzenia tężyzny
i jawi wówczas przed cielesne oczy,
jak latem rzeka w płytkiej wód roztoczy,
wszystkie swej własnej małości mielizny,
wszystkie przewiny, jak krwawiące rany!

Zda się, że podczas niemego przymierza
z ową jasnością, niczem niesplamioną,
cząstka boskości, którą życie głuszy,
a która jednak w każdej żyje duszy,
choć ją uparcie i stale dławiono,
jak nurt potężny, w świadomość uderza!

Jako skazaniec przed ohydą kaźni,
wzburzona psyche drży i w zawstydzeniu
zmaga się z sobą, płacze, gniewem płonie,
aż wreszcie chyli uznojone skronie
i szepcze w drętwem przerażeń omdleniu:
„Czemu, o życie, kalasz głąb mej jaźni?"

I zanim słońce purpurową głowę
wyłoni z poza horyzontu brzegów
i w krasie blasków zwycięsko powstanie —
znużona psyche wraca na posłanie,
by przed dniem spocząć—dniem zwykłych zabiegów.
I cicho płyną chwile jutrzenkowe...

Cicho się kleją ciężące powieki,
świadomość schodzi w tajemne otchłanie
niezbadanego sennych rojeń państwa,
z rzeczywistości zwolniona poddaństwa.

Podświadomości głos, jak szum daleki

potoków srebrnych, w srebrną spływa ciszę...
A w gniazdach ptactwo budzić się poczyna,
za oknem brzoza senna się kołysze...

. . . .

Jest w życiu duszy przedziwna godzina...

SAMOTNOŚĆ.

Z omglenia myśli ku mnie się wyłania,
jak z mroków nocy srebrny błysk świtania,

twarz jakaś znana. Jej otchłanne oczy —
bezbrzeżnie smutne, choć je łza nie mroczy —

tak dziwnie patrzą... Wiem już, wiem, kto ona:
to moja własna dusza, oddzielona

od cielesności, to mych przeżyć postać,
która do zgonu ma już przy mnie zostać.

Więc wglądam w siebie, w przeżycia me własne.
Może to koło za małe, za ciasne,

i może lepiej byłoby się wcielić
w smutki ludzkości i jej ból podzielić —

lecz czyliż człowiek kiedy się wyzwoli
tak, by czuć najmniej, co najwięcej boli?

Czyliż jaskółce podniebie orłowe
bliższem od strzechy, co jej słoni głowę?

A kto, kochając ludzi sercem całem,
ufa, iż stworzy świat wspólny podziałem

ducha i myśli — o jakże się myli!
W najboleśniejszej życia swego chwili —

gdy się najbliżsi ból z nim dzielić kuszą —
sam pozostanie z własną jeno duszą...

W NOCE...

W noce dziecięce, beztroskie noce,
W nieświadomości słodkiej pomroce
przy ciepłej piersi matczynej —
dobry sen błogo kleił powieki
i pierwszych wrażeń poświt daleki
błyskał w rojeniach dzieciny.

W noce majowe, samotne noce,
obłędnie biło serce sieroce
do snów dziewiczych spełnienia...
I próżno sercu szeptałam: „Zaśnij!...“
Przędło nić złudną świetlanych baśni
z księżycowego promienia.

W noce lipcowe, miłości noce,
w rzeczywistości cichej zatoce,
jak łódź, więziona na fali
mocnej kotwicy prężnem napięciem,
szarpie się w oddal żagli rozdęciem,
i pluskiem głębi się żali —
tak serce rwie się w kraj śnionych baśni
i próżno sercu powtarzam: „Zaśnij!...“
Tęsknota spełnień je pali!...

JESZCZE NIE ZIMA...

Jeszcze nie zima, a już bezwład śmierci
dźwiga na barkach ponury listopad.
Jeszcze nie zima, a zszarpany w ćwierci
na drogach duszy leży ułud opad.

Jeszcze nie zima, a już chłód się wwierca
i lodowaty powiew smutku niesie.
Jeszcze nie zima, a już zgrzyt-szyderca,
niby dysonans w Wagnera frazesie,

dźwięczy upartym, natrętnym motywem:
„Jesień wszystkiemu, beznadziejna jesień!"
Przeczuciom skonu dążeń i uniesień

zaprzecza jeszcze serce tętnem żywem!
O, życia prawdo, bezlitośnie naga —
tobą, jak biczem, wiatr jesienny smaga.

W ZADUSZKI.

Wzdłuż alej, mogił, granitowych sklepień,
pod drzew jesiennych rudozłoty tum,
jak wąż, skrętami tysiącznych rozszczepień
rozpełzł się mnogi, różnobarwny tłum.

To dzień jedyny, kiedy żywi społem,
zobojętnienia twardy krusząc lód,
idą podumać nad blizkich popiołem,
ozdobić kwiatem smutny zmarłych gród.

A jednak biada tym, co wykreśleni
z szeregu żywych, jako zbędny proch!
Władna dłoń czasu szybko z serc wypleni
ból po ich stracie, przebrzmi krótki szloch,

a łzy, co z oczu spłyną na dół twarzy,
wątły kwiat żalu zmrożą szronem ros...
Wszak zapomnienie za bramą cmentarzy,
gdzie ponęt życia złudny wabi głos.

I stokroć może bliższym ów nieznany,
co ma przestąpić przez narodzin próg,
niż ten, kto wsiąknął w otchłanie Nirwany
pyłem zdmuchniętym z ludnych świata dróg.

Tak może lepiej: życia równowaga —
olbrzymia szala, którą dzierży los,
uchyleń nie zna, przed bólem się wzdraga
i nie naruszy jej najcięższy cios.

Może w tem mądrość, tak może jest lepiej,
że prawa życia mocne są, jak spiż,
że rana serca prędzej się zasklepi,
niż nad mogiłą ręka wzniesie krzyż.

ZGONY.

O, kwiaty, więdniejące w swej woni przepychu!
O, dźwięki, harmonijnie ginące w przestrzeni!
O, zachody, gasnące pod nimbem promieni!
ileż smutku jest w waszym mijania pośpiechu...

Ktokolwiek patrzeć zacznie w przyszłość bez [uśmiechu,
z chwilą, gdy przejdzie kwietne błonia wiosny swojej,
gdy mu życia w ułudę świadomość nie stroi —
za każdem mgnieniem, które odchodzi pocichu,

odczuwa wasze zgony, chce przedłużyć trwanie.
Stokroć jednak smutniejszem jest ludzi konanie:
wy bowiem śmiercią tylko umieracie jedną,

a my gdy odchodzimy w nicości bezedno,
to nad każdym po dwakroć śmierć swój tryumf [święci,
znika z ziemi oblicza i z blizkich pamięci.

BALLADA.

W GAJU ALG...

I.

W gaju alg, w wodorostów pomroczy,
o perłowych konch wsparte ławicę,
raźno gwarzą syreny-siostrzyce,
plotąc pasma konopnych warkoczy.

Na dnie morza błękitnej przezroczy,
jak ta woda — tak życie ich płynie,
monotonnie w zacisznej głębinie...
Więc tęsknota je nagła omroczy,

choć wokoło goreją otęcze
bursztynowe i perły bezcenne
i korale purpurą płomienne,
a ljan morskich tkaniny pajęcze

zdobią wodnych pałaców przełęcze,
kędy drzemią na straży pancerne
wielkie kraby władczyniom swym wierne.
Nenufarów złociste naręcze

nimfom ściele się nakształt kobierca...
A gdy nocą sen oczy przymyka —
to fal płynnych przedziwna muzyka
miękkim rytmem kołysze ich serca.

W gaju alg, w wodorostów pomroczy,
o perłowych konch wsparte ławicę,
smętnie gwarzą syreny-siostrzyce,
plotąc pasma konopnych warkoczy:

II.

„Straszne zaklęcie
w zimnym odmęcie
każe nam żyć!
Żal w sercach gości,
a o wolności
daremnie śnić!

Choć kryją fale
perły, korale —
wieczny w nich chłód!
Na nic uroda,
młodości szkoda —
serce ssie głód!...“

III.

Naraz jedna najmłodsza z nich rzecze:
„Mnie w dzieciństwie piastunka mówiła,
że zaklęcia odczyni się siła,
gdy choć jedno istnienie człowiecze

bogom morza się złoży w ofierze,
jako wykup za wolność królewny;
że to środek skuteczny a pewny —
a więc siostry, zawrzyjmy przymierze!

Cóż to widzę, ta myśl was przeraża?
Gdy więc żadna się z was nie ośmieli —
idźcie, prządźcie mu giezło z kądzieli,
a ja bogom dostarczę żeglarza!“

IV.

Na bezkresnym wód obszarze
żywszy powiew zmarł;
w fal omdlałych sennym gwarze
słońce pławi żar.

Od dalekich mknie wybrzeży
łódka — morski ptak...
Szafirowe tonie śnieży
biały żagla znak

i wesoło się chybocze,
w skoczny pląsa tan,
przez perłowe mknąc roztocze
zróżowionych pian.

Morze, błękit, cisza, słońce,
wioseł lekki trud,
w fal rozcięciu kręgi lśniące —
Boże, co za cud!

Jaka rozkosz i swoboda,
jaki miły znój,
jakim czarem tchnie przyroda,
dobry Boże mój!

Z taką myślą żeglarz młody
pędem strzały mknie
i nie czuje, że głąb wody
tai śmierć na dnie!...

V.

Koralowe rzuciwszy pałace,
ich okrutna, acz piękna mieszkanka
na żeglarza czatuje od ranka
i tak myśli: „Poczekaj, zatracę

ja twe nędzne człowiecze istnienie!
Spoczniesz sobie wśród morza otchłani...
A gdy bogom trup złożę twój w dani —
to się sama w królewnę przemienię!“

VI.

Głos młodzieńczy
zadźwięczy
piosenką;
to głąb toni
rozdzwoni
podzięką;

to się fali
użali
w ten zew:

„Przybądź w gości,
miłości
śnie zwodny!
Pieśń cię wabi
w korabi
szlak wodny...

W zórz czerwieni
płomieni
się krew!“

VII.

W ślad łodzi mknie najada,
wypływa to zapada
w puszystej piany błam;
a śpiewak z Bożej łaski,
w słoneczne wpatrzon blaski,
w jej sieci
leci
sam.

VIII.

Bieg zwolnił żeglarz młody...
A kiedy nimfa z wody

przegięciem zdradnem węży
swe gibkie ciało pręży,

by spełnić czyn zuchwały —
oczy się ich spotkały...

A była w jego wzroku
tak wielka moc uroku,

że padła urzeczona
wód morskich dziwożona,

wstrząśnięta nagłym dreszczem,
w przeczuciu swem złowieszczem.

IX.

I wyrwała mu z rąk wiosła!
Fala łódkę w dal poniosła,

kędy warczą wirów leje,
gdzie szatańsko nurt się śmieje,

gdzie śmiertelne wznoszą łoże
raf podwodnych ostre noże...

X.

Władca morza wybrał w posły
dwa delfiny, by zaniosły

wieść syrenie, że jej dana
jest już wolność z ręki pana,

że gdy stanie mu przed oczy —
w królewnę ją przeistoczy.

XI.

W gaju alg, w wodorostów pomroczy,
o perłowych konch wsparte ławicę,
przerażone syreny-siostrzyce
zaprzestały splatania warkoczy.

Oto księżyc dziś po raz już trzeci
srebro szat swych spłókuje na fali,
one niżą sznur trzeci korali,
zorza czwarta niebawem zaświeci,

odkąd młodszej ich siostry tu niema...
Więc od smutku pobladły im lica,
odbiegła ich wesołość-psotnica,
spoglądają łzawemi oczyma...

XII.

„Biada nam, siostry, o biada!
Nie wiemy, kędy przepada
nasza najmłodsza siostrzyca?

Fala się fali spowiada,
że o niej smuga wie blada,
co mroczny przestwór rozświeca...

Biada nam, siostry, o, biada!
Czyż ją spotkała zagłada?
Płyńmy, pytajmy księżyca!...

XIII.

Ciał w sennej topieli
się bieli
dziewiczy,
zwodniczy
krąg.

Tło srebrnej roztoczy
jednoczy
splot wabny,
jedwabny
rąk.

Na toni widm zgrają
pląsają,
odchodzą,
zawodzą
w ton.

Oj, pewnie z rozpaczą
opłaczą
z sióstr jednej
tej biednej
zgon!...

XIV.

Z niczem posły wróciły delfiny:
przeszukały dno morskiej głębiny,

nie znalazły jej nigdzie w wód głębi.
A ten wir, co tak dziko się kłębi,

nie chciał mówić, okrutny szyderca,
jedno, czy też dwa uśmiercił serca.

XV.

Kto mil tysiąc i tysiąc odmierzy
w dal po morskiem, pustynnem bezdrożu,
znajdzie wyspę w pian białej odzieży,
co miłośnie oddała się morzu.

Ono fali pieszczotą troskliwie
kręte brzegi otula, obmywa;
w złocie żwirów, w błękitnych fal szkliwie
pędzi żywot swój wyspa szczęśliwa.

Na zachodnim jej stoku jest skała,
co bałwanów odpiera bunt wraży,
i nad głębią zwiesiwszy się cała,
już od wieków tak stoi na straży.

XVI.

Drży na wód ogromie
krwawa łuna zorzy.
Na skalistym złomie
syrena się korzy.

Łamie białe ręce,
piersi rwie szlochaniem,
zwisa w bólu męce
postaci złamaniem...

XVII.

Wezbrało serce, jak śniegi,
w lodowych górach zakrzepłe,
miłością wielką po brzegi!
A od łez oczy oślepłe

ścigają w blaskach i mrokach
i o różanym zórz wschodzie
mknące w żagielnych obłokach
dalekie, wędrowne łodzie...

A kiedy odpływ zostawia
u brzegów muszle i pianę,
syrena dłońmi wyławia
w obłędzie zwłoki kochane.

Czerwień warg wpija w żwir, w męty,
w dzikiem szaleństwie się miota...
. . . .
Zwłoki pożarły odmęty,
a morderczynię — tęsknota!...

Z POD WIEKÓW OPYŁU.

WILANÓW.

I.

Po chrzęstnym żwirze alej drży cieniem osnowa
młodych liści, stworzonych przez wiosny pęd rodny.
Zachód w djademie blasków cichy i pogodny
potęguje swą krasą urok Wilanowa.

Szept wierzb zgarbionych, śmigłych topoli rozmowa,
a w dole matki-Wisły tłumiony szloch wodny —
to płaczek nad minionem chór rzewny i zgodny,
tak żałością brzemienny, jak pieśń nadgrobowa.

Pod ciosem wrażych losów nie zniżając głowy,
odwieczną służbę pełniąc w takt dzwonny, miarowy,
wieżowy zegar w słońcu wybladłą twarz pławi,

niegdyś wiarus królewski, dziś kustosz pamiątek.
Cykań jego któż zgadnie nieprzerwany wątek?
Czy złorzeczy przeszłości, czy ją błogosławi?

II.

Zielenią gibkich bluszczy wirydarz opięty
przytula się do strojnej płaskorzeźbą ściany,
kędy żaluzyi ciężkich splot w drzewie ciosany
chroni skrzydeł pałacu harmonijne skręty.

A tam, życiem swoistem żyjąc, stare sprzęty
w mroku kryją świetności swej zadane rany,
i czasem tylko słońca promień zabłąkany
zdradzi przepych ich kształtów, pyłem owionięty

i portretów przygasłe zarumieni twarze
lub marmurom pożółkłym uśmiechnąć się każe.
Uwieczniona w sklepieniu włoskim pendzlem wiosna

urągać zda się zimnej grobowca martwocie,
a nazewnątrz prawdziwa w majowej pozłocie
nad szczątkiem królewskości — króluje radosna!

KLĘCZNIK.

Przed obrazem lampeczka płomykiem migota,
sycona wonnym tłuszczem pożółkłej oliwy.
Mrok-pająk cienie snuje, niby tkacz gorliwy,
po kątach żółwim krokiem włóczy się tęsknota.

Od chwili, gdy śmierć-stróżka zatrzasnęła wrota
za życiem, co odeszło, zamilkł gwar zgiełkliwy.
Sprzęt jeden zda się w kącie być, jak świadek żywy,
tu, gdzie się beznadziejna rozsiadła martwota,

klęcznik — powiernik myśli, modlitwy, rozpaczy,
krwawą plamą mahoniu na ścianie się znaczy.
Snać często go żłobiły ugięte kolana,

bo trwałym się wyryły śladem na atłasie...
Tyle tylko, nic więcej w przestworzu i w czasie,
chyba gdzieś, w sercu czyjemś, niezgojona rana...

KSIĘGA.

Pisana ręką siwego mnicha
w średniowiecznego klasztoru celi,
z karty żółtemi, jako wosk pszczeli,
leży wymowna — napozór cicha.

Na marginesie z kwiatów kielicha
snuje się barwny splot akwareli,
w którym się skrzydło anioła bieli,
słodka madonny twarz się uśmiecha.

Nizko schylonej nad infoljałem
przeszłość się zwierza echem nieśmiałem.
Kędyś szczebioczą ptaszki w drzew tumie.

Jak przez sen słyszę pogwar daleki —
tam kwitnie życie, tu drzemią wieki...
Słucham i marzę w zbożnej zadumie.

KAPLICA.

Pusty brzeg morski... Na stromej skale,
ktorą zdobywa groźnych wód ława,
kędy iskrzących pyłów kurzawa
ćmi się w powietrza modrym krysztale —

marmury kolumn piętrzy wspaniale
srebrna w księżycu, w słońcu złotawa
wpółobalonej kaplicy nawa.
Mewy, wzlatując nad sine fale,

żywą girlandą wieńczą jej złomy —
biel z bielą spływa w kształt nieruchomy.
A dzwon, co niegdyś runął z wieżycy

i legł w podwodnej morza pieczarze
śle jęk żałobny w nurtu pogwarze,
o porzuconej śniąc samotnicy...

ZAMEK.

I.

Przywarł do nagiej, skalistej ściany,
niby jaskółcze gniazdo do strzechy;
przykro w nim dzwonią puszczyków śmiechy;
gruz się tu spiętrzył w sypkie kurhany.

Jak zwierz, kły szczerzy mur poszarpany,
w pustych strzelnicach wichrów oddechy
złowróżbnie gwiżdżą dzikiemi echy.
A gdy rozległe jego majdany

noc dobroczynnym zaściele mrokiem —
stare zamczysko znów tchnie urokiem:
gwiazd go poświata srebrzy i leczy.

Na horyzontu sinej roztoczy
jawi się widmem i wabi oczy
poezją w przeszłość odeszłych rzeczy.

II.

I przeszłość wstaje... Serce ją wita,
a wyobraźnia świetność jej wskrzesza:
rycerzy chmara konna i piesza,
jak kwiat, z czeluści zamku wykwita.

Mknie wódz na przedzie, a za nim świta,
i narodowych sztandarów rzesza
orlemi skrzydły nad nią się zwiesza.
Połyska zbroja pancerna, lita,

twarze im ciężka kryje przyłbica.
Przemknęli w srebrnej smudze księżyca...
Wśród głuchej ciszy czujność skupiona

tętent gdzieś słyszy — dzwonią wiązadła
mostów zwodzonych. Wizja przepadła
i zamek czarna skryła opona...

BAŚŃ.

TALIZMAN.

Talizman wiekowy
w biel rączki liljowej
ujęła wiośniana królewna.
Jej główka marząca
i dusza gorąca,
a postać, jak górska mgła zwiewna.

Królewnę upaja nadzieją ułuda,
co treścią wewnętrzną się stała
tej duszy młodzieńczej i ufnej, że cuda
jej marzeń przybiorą kształt ciała.

Więc stoi w półśnieniu
w czarownem omdleniu,
tęsknota namiętna ją trawi,
a klejnot ów rzadki
w rączynie jej gładkiej
szmaragdu się barwą jaskrawi.

I nagle w dziw złoty
potęga tęsknoty
wcieliła tajemne pragnienia:
sen jawą się dwoi
i rycerz już stoi,
a szmaragd połyska wśród cienia.

Na widok pięknego, jak bóstwo rycerza,
królewna spłonęła wzruszona...
Lecz rycerz coś dziwnen spojrzeniem ją zmierza
i w mocne nie bierze ramiona.

Wśród nocy srebrzystej
na błonia hen! mgliste
odchodzi, rumaka dosiada —
tak obcy, daleki
i znika na wieki.
Twarzyczka pochyla się blada...

Przed wzrokiem z oddali
połyskiem się pali
ten szmaragd — talizman królewny.
Zamgliły się oczy,
wid przepadł uroczy,
a został ból w piersi, szloch rzewny...

Snać biedne serduszko zawodu nie zniosło
i legło pod ciosem rozdarte!
Marzenie kochało, z marzeniem się zrosło,
bez marzeń — cóż życie jest warte?

Więc złote jej włosy
zamiotły traw rosy —
już żadna nie zbudzi jej siła:
śmierć do snu utuli,
oj luli, ach luli —
nie będziesz ty więcej marzyła...

WIERSZE RÓŻNE.

MAGDALENA.

FRAGMENT.

Bezdrzewny i beztrawy,
od rdzawych piasków krwawy
na miejscu złej Sodomy,
którą zmiótł gniew widomy
i groźna dłoń Jehowy —
pustyni obszar płowy
legł w dzikim spieki żarze.

Bazaltu twarde zręby,
bezlistnych cierni kłęby,
pełznących krzów liszaje
skwar ostry słońca kraje,
ognistą chłostą siecze.
Zwierzęce ni człowiecze
na martwym tym obszarze

nie zabrzmią znikąd kroki...
A szakal wśród roztoki
żółtawych piasków błądzi
i węszy ślad wielbłądzi;
zdechłego tropiąc zwierza,
spróchniałe kły wyszczerza
i wyje na pustyni.

Spieką zwęglona skała
dla cudnych wdzięków ciała,
dla krwawych wspomnień męki,
dla bólu, łez, udręki,
dla złotowłosej głowy
niewiasty Chrystusowej
schronisko smutne czyni.

Bez picia i bez jadła,
gdzie stała, tam i padła
i oto — leży ona
dzień cały w piach wtulona.

Olbrzymich włosów fala
po plecach się przewala,
kuszącą piękność kryje...

W cierniowym splocie wieńca
twarz słodka oblubieńca
z przed oczu jej nie znika —
więc wzrasta rozpacz dzika,
pierś targa szloch szaleńczy!
Przycicha — to znów jęczy,
zamiera — to znów żyje.

Ból ćwieków dłonie rani,
zastyga okrzyk w krtani...
Z rozkoszy konająca
z początku aż do końca
przeżywa mękę Chrysta
ta grzeszna i nieczysta,
co Go umiłowała!

Przeżywa dzień Golgoty —
a kiedy żar spiekoty
pod wieczór schłódnie nieco, —
ekstazą lica świecą,
skurcz bólu mrze na twarzy,
obłęd się w oczach żarzy,
dreszcz wstrząsa nagość ciała...

Cud się jej duszy wieści
i tłumi jęk boleści.
Szalona gna przed siebie:
na bezobłocznem niebie
cień staje przed nią krzyża...
To wznosi się, to zniża
ta wizja przeogromna!

Więc pędzi cudna, naga,
ognistym deszczem smaga
ją zlewa włosów złota,
gna obłęd i tęsknota!
Powietrze chwyta usty,
rękoma bezmiar pusty —
i pada nieprzytomna!...

UTY ŻAŁOBNE.

Pamięci siostrzeniczki poświęcam.

My nie mówimy już więcej o tobie,
jakbyś dalekim jeno była snem...
Choć tak niedawno w zimnym leżysz grobie,
my nie mówimy już więcej o tobie:
niemieją usta w ciężkiej serc żałobie,
szaleją myśli rozpętaniem złem!
I nie mówimy już więcej o tobie,
jakbyś dalekim jeno była snem.

Zniknął, jak promyk na omglonym szczycie,
postaci twojej nieuchwytny czar,
i odtąd pustką stało nam się życie...
Zniknął, jak promyk na omglonym szczycie,
jak kwiat złamany w przepysznym rozkwicie,
którego krasę mroźny podmuch starł.
Zniknął, jak promyk na odległym szczycie,
postaci twojej nieuchwytny czar.

Małem serduszkiem kochałaś tak wiele:
słonko i kwiaty, zabawki i nas!
I kwitło szczęście, dzwoniło wesele...
Małem serduszkiem kochałaś tak wiele:
Pieszczoty twoje, jako miody pszczele,
słodycz sączyły w gorzkiej chwili czas.
Małem serduszkiem kochałaś tak wiele:
słonko i kwiaty, zabawki i nas!

Rozbrzmiewał w domu szczebiot twój radosny,
migała główka złocista, jak kłos...
Gdzie ten czar piękna, gdzie ten urok wiosny?
Rozbrzmiewał w domu szczebiot twój radosny,
dziś tu króluje jeno żal bezgłośny —
wszystko zrabował nienawistny los!
Rozbrzmiewał w domu szczebiot twój radosny,
migała główka złocista, jak kłos.

Umilkły śmiechu srebrzyste kaskady —
bujnego życia niewstrzymany bieg!
Po kątach smutek rozwłóczył się blady,
Umilkły śmiechu srebrzyste kaskady...
Sącząc trujące zniechęcenia jady,
ból twardym głazem na piersi nam legł.
Umilkły śmiechu srebrzyste kaskady —
bujnego życia niewstrzymany bieg.

Zgasło złociste loków twych jaśnienie
blaskiem przedwcześnie konających zórz...
rodziców duma, radość ich i mienie —
zgasło złociste loków twych jaśnienie!
Czarnej mogiły wchłonęły je cienie
z wonią więdnących w twej trumience róż...
Zgasło złociste loków twych jaśnienie
blaskiem przedwcześnie konających zórz...

PO KONCERCIE
IGNACEGO PADEREWSKIEGO.

Grałeś... Z pod palców płynęły nie tony,
lecz jakby mowa duszy przebóstwionej!

Wstrząsnąłeś serca ekstatycznym dreszczem
w przeczystej sztuki objawieniu wieszczem...

W grze Twej nie było klawiszów dotknięcia,
lecz myśli wzniosłe, przedziwne zaklęcia,

tkliwość pieszczoty i rozpaczy siła:
w niej dusza ludzka kochała i żyła!

Widziałam twarze zwiędłe, pomarszczone,
twarzyczki młode, rumieńcem kraszone,

Piękne kobiety w zawojach warkoczy,
marzące, smutne lub wesołe oczy —

a wszystkich źrenic szafiry, opale
ku Twej postaci zwracały sie stale.

I pod Twej pieśni czarem fluidycznym
tłum ludzki zamarł, jak w śnie hypnotycznym.

W duszę Twą duszą wsłuchałam się całą
i nagle dla mnie pewnością się stało,

że jeśli na tej dźwięczącej przestrzeni
są ludzie wrodzy sobie lub zwaśnieni;

są czucia jakieś liche i przyziemne,
knowania zbrodni lub zemsty nikczemne,

trujące jady wzajemnych zawiści —
to je czar pieśni zmoże i oczyści,

jak słońca promień ponurą czerń wnętrzy
i każdy z sali lepszy wyjdzie, świętszy!

O, nie zasługą jest niecić zachwyty,
lecz dusze ludzkie brać i wieść na szczyty!...

SPIS RZECZY.

Ziarna piołunne.

Ballada

Z pod wieków opyłu.

Baśń.

Wiersze różne.
